

Felieton na środę 16. 05. 2018.

Mili Państwo – słuchacze Radia eM. Ani się nie obejrzelśmy, a już połowa maja i ani się nie obejrzymy, a będzie po Bożym Ciele i znów będziemy myśleć o wakacjach, urlopach i wyjazdach.

W tym dzisiejszym felietonie, na który jak zawsze serdecznie zapraszam, chcę się podzielić z państwem dwoma refleksjami. Pierwsza jest jakby szczególnie na czasie, bo taka około pierwszokomunijna.

Od dość dawna już w większości chyba parafii dzieci przystępują do pierwszej Komunii w jednolitych strojach, nazywanych czasem liturgicznymi. Przekonywanie rodziców, a szczególnie mam, do takiej praktyki kosztowało sporo wysiłku i nie było wcale takie proste, o czym wiem z własnego proboszczowskiego doświadczenia, mimo że celowość takiego jednolitego pierwszokomunijnego stroju wydawała się być oczywista i pożyteczna, i to z wielu względów: skromnościowych, solidarnościowych, i ekonomicznych także. Na dodatek też zasada ta miała jakby uskromnić, że tak powiem, dziecięcą strojność i wyhamować to postępujące ubraniowo, pierwszokomunijne szaleństwo. Na co zresztą wszyscy zwracali uwagę i to kontestowali. Bo przecież, co oczywiste, nie o to tu chodzi.

Od jakiegoś jednak czasu pojawił się nowy pierwszokomunijny zwyczaj. Wygląda on tak. Na Mszy św. w kościele dzieci ubrane są, a jakże w takie same pierwszokomunijne stroje, a w restauracji przed uroczystym rodzinnym obiadem coraz więcej dzieci przebieranych jest w quasi ślubne dziewczęce sukienki i chłopięce garnitury.

I przyznam się Państwu, ja czegoś tu zupełnie nie rozumiem. I nie bardzo wiem, o co tu właściwie chodzi. Z jednej strony wszyscy załamują ręce nad coraz większą pierwszokomunijną kosztownością i wystawnością. Przyjęcie w restauracji przecież swoje kosztuje, nowy ubiór rodziców i rodzeństwa też, do wystroju kościoła też trzeba się dorzucić, do tego jeszcze jakaś pamiątka i zdjęcia. A z drugiej, dokładany jest dodatkowy wydatek podwójnego ubioru. Z jednej strony lament nad rosnącym pierwszokomunijnym szpanem, a drugiej samemu w tym udział.

A proszę popatrzeć teraz na to także i z tej strony. Ta zamiana stroju, niby niewinna niesie ze sobą tak przy okazji, mimochodem, może niechcący i takie oto przesłanie: to co w kościele to jedno, a to co w restauracji, to drugie. Ta zamiana stroju pokazuje, uwydatnia rozdzielenie tych dwóch przestrzeni. A przecież tej restauracyjnej nie byłoby bez tej kościelnej. Ta restauracyjna jest z powodu tej kościelnej i ją dopełnia, uzupełnia, a przynajmniej powinna. Ta zamiana stroju ugruntowuje i to od najmłodszych już lat taki dualizm, rozdzielność religijności od reszty życia i zachowań.

Żeby było mało ta zamiana się powtarza, bo na popołudniowe nabożeństwo trzeba znów się przebrać w ten kościelny pierwszokomunijny strój i pewno wcale nie z powodu tego nabożeństwa, a wspólnej fotografii. Myślę sobie, że te pierwszokomunijne przebieranki wyrządzają więcej szkody niż pożytku nie tyle nawet w rodzicielskich portfelach, co w budowaniu i umacnianiu przekonania, że religijność to jedno, a to co poza to drugie i zupełnie inne.

Refleksja druga jest około małżeńska. Od jakiegoś czasu na antenie TVNu emitowany jest program „Ślub od pierwszego wejrzenia”. W informacjach o idei tego programu przeczytałem: *Samotność, nieudane związki i burzliwe rozstania. Co zrobić, gdy intuicja zawodzi w wyborze tej jedynej osoby? Czy warto zaufać nauce i oddać swój los w ręce fachowców? Uczestnicy programu „Ślub od pierwszego wejrzenia” zdecydowali się na ten krok. Idealnego partnera lub partnerki będą dla nich szukać eksperci. Ale jest jeden warunek*

– swoich wybranków będą mogli poznać dopiero na ślubnym kobiercu... Jego bohaterami są osoby, które do tej pory nie znalazły drugiej połówki, niemniej ciągle marzą o wielkiej miłości. W jej znalezieniu pomoże tym razem nie swatka czy portal randkowy, lecz specjaliści. Kierownik Katedry Biologii Człowieka, seksuolog, psycholog. Testy psychologiczne, wielogodzinne rozmowy, analiza zapachu i wymiarów... To naukowe wytyczne do znalezienia idealnego partnera. Miłosny eksperyment potrwa miesiąc. Po tym czasie każda z par będzie musiała podjąć decyzję, czy chce dalej budować wspólną przyszłość. Czy naukowe podejście do miłości sprawdzi się w praktyce a wybory ekspertów okażą się strzałem w dziesiątkę?

Ze zdumieniem przeczytałem te programowe założenia. Myślę sobie, że chęć znalezienia dla siebie *idealnego partnera lub partnerki* na życie jest daleko iluzoryczna, bo takich ludzkich ideałów po prostu nie ma. Założenie na dodatek, że tę idealność da się jakoś zidentyfikować biologią, seksuologią, czy psychologią jest jakimś nieporozumieniem i sprowadzeniem małżeństwa na poziom zimnego doboru osobników zupełnie eliminując ciepło uczucia – miłość. A to ona sprawia, że małżonkowie przeżywają z sobą lata całe nie dlatego, że byli dla siebie idealni, a mimo wzajemnej dla siebie nie idealności. Na domiar złego ta wzajemna dla siebie idealność jest identyfikowana na teraz, na dziś, a przecież ludzie są dynamiczni i w życiu się zmieniają, i z czasem przestaną być dla siebie idealni, i wtedy zapewne przyjdzie czas na zmianę i aktualizację partnerskiej idealności.

Logika tego programu nie ma nic z *naukowego podejścia do miłości*. Zresztą nie wiem czy to w ogóle możliwe, bo nauka - to rozum, a miłość - to serce, a w praktyce rozum nie zawsze przecież idzie w parze z sercem, i jak podpowiada doświadczenie, śmiem twierdzić zdecydowanej większości małżeństw, wcale to nie zaszkodziło ich trwałości.

Ten *miłosny eksperyment trwa miesiąc*, jak to zapowiadają autorzy programu, a potem się zobaczy. Ma więc charakter zabawy i to publicznej zabawy małżeństwem i w małżeństwo.

Chyba jednak coś z nami jest już nie tak, jeśli małżeństwo gotowi jesteśmy traktować jak przedmiot do publicznej zabawy.

Dziękuję już za dzisiejszą uwagę i do usłyszenia. ks. Piotr Brząkalik

Felietonów ks. Piotra można posłuchać w Radiu M w każdą środę o 9:30